

teatr

Gzysyiki i Kłaczki

Stanisław Żak

TO brzmi jak: Kapuletti i Monteki. Coś w tym jest z wielkiej komedii ludzkiej, która raz przeraża — innym razem bawi. Na scenie kieleckiego Teatru mamy w „Romansie z wodewilu” komediową odmianę ludzkiej bezsilności. Może ktoś powiedzieć: zbyt poważny ton jak na farsową sztukę, której jedynym celem jest zabawa i nic więcej. To tylko pozornie tak się wydaje, bo jak pomyślimy trochę, to tutaj też mamy wielkie ludzkie sprawy — inny tylko punkt widzenia. O ważności konfliktu, z jakim mamy do czynienia w „Romansie...” świadczy niewątpliwie jego niezniszczalna żywotność i ciągła aktualność.

„Romans z wodewilu” przechodził swoje ewolucje sceniczne i literackie, bowiem pierwowzór, „Krowoderskie zuchy” Stefana Turskiego, został wyreżyserowany (przerobiony) przez Władysława Krzemińskiego na sce-

nie Starego Teatru w Krakowie (1948). pod tytułem aktualnym. Od tego czasu sztuka w tej właśnie postaci, stworzonej przez Krzemińskiego, wracała na sceny polskie co jakiś czas z wielkim powodzeniem. Tajemnica tego powodzenia tkwi w udanych i trafnych zmianach w samym tekście, ożywieniu go dowcipem słownym, który zawsze jest aktualny niejako poza czasem. Antoni Fertner wspomina swoją rolę Gzysyika z niezwykłym ciepłem, bo „zmieniały się obsady — pisze — jedni moi »wodewilowi« dynamicznie odchodzili, po nich miałem następnych, tylko ja wciąż ojcowałem, kręciłem uparcie mak w świętecznej makutrze choć mogło się człowiekowi kręcić w głowie od tylu przedstawień — i wzbogaciłem swojego Gzysyika o nowe cechy charakteru”. Rzeczywiście powodzenie sztuki było wprost niezwykle i niezrozumiałe — grano ponad trzysta razy.

Wznowienie tego przedstawienia w Kielcach (już kiedyś było) podtrzymuje tę tradycję i myślę, że w tej postaci może być kolejnym sukcesem sztuki, kolejnym argumentem, że w tym romansie córki radcy Kłaczka z synem murarza Gzysyika z Krowodrzy, jest coś niezwykle ludzkiego i prostego, co przyciąga widza do teatru, a w teatrze każde mu się śmiać, bić brawo, albo nieznacznie się wzruszyć.

Siedząc na widowni, wśród premierowych gości, myślałem, że jest to przecież historia naiwna, sentymentalna, a nawet melodramatyczna, prosta. Co może widza trzymać? Bo przecież trzyma, rozwesela, bawi, wprowadza w świat obcy i zarazem taki swojski. Obcy, bo odległy; swojski, bo polski, krakowski. To naprawdę tajemnica do rozwiązania.

Przedstawienie kieleckie „Romansu z wodewilu” jest dobre. Mówię to już teraz, aby nie było nieporozumień, gdy zgłoszę — być może jakiejś uwagi krytycznej. Przedstawienie jest dobre przede wszystkim dzięki biorącym w nim udział aktorom, spośród których jedni są lepsi, inni trochę mniej dobrzy, ale w sumie grają równo i stworzyli widowisko dynamiczne, barwne, dowcipne. Tu pierwsza uwaga: nie mogę powiedzieć — rozśpiewane,

bo wydaje mi się, że wokalnemu — muzyczna oprawa spektaklu jest słaba. Aktorom można dorwać brak głosu, ale nie można darować niedopracowania muzycznego. To jest moja uwaga krytyczna.

Dokomponowano do przedstawienia „prolog i finał”, który — jak sądzę — miał uwspółcześnić przedstawienie, choćby przez umiejscowienie w Kielcach. Wątpliwy to jednak zabieg, skoro kilkakrotnie wraca walczyk „Spacerkiem, spacerkiem przez Kraków”. Te uzupełnienia mają charakter szopkowy (w zamyśle autora), w rzeczywistości nie wychodzą poza dożynkowe przyśpiewki, w których chłopcy przyśpiewali się dziedzicowi o względy, albo go wprost chwaliłi. To psuje nastrój, nie dorównuje też dowcipem temu, co w sztuce. Może by z tego zrezygnować? Chyba bez szkody dla całości — sądzę. Zwłaszcza że już po premierze, nikt ważny nie przyjdzie.

Wracajmy do przedstawienia wyreżyserowanego przez Danutę Jagłę. Jest ono dobre, szybkie, dynamiczne. Niezwykle subtelnie zaakcentowane zostało to obyczajowe: przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia, wigilia w domu murarza Gzysyika, biały obrus, opłatek, siano, choinka, życzenia. To wszystko posiada nieodpartą czar. O zmianie tych czarów i nastrojów świadczy znów sytuacja w domu byłego tapicera, teraz radcy Kłaczka, który zaplaciwszy pięć tysięcy guldenów, oczekuje na tytuł i zmianę nazwiska z Widnia; radca z żoną Balbiną odpoczywają po obfitym świątecznym jedzeniu: on nagrzewa nadwężoną wątrobę termoforem, ona zaś cierpi na obowiązkową arystokratyczną migrenę. Tu nie ma lirycznego nastroju z domu Gzysyików — tu jest prymitywizm, poza, kłamstwo. Ale wszystko to zostało podkreślone delikatnie, z lekką ironią, wyznaczającą dystans między widzami a Kłaczkami (jutro już będą Kłaczkowscy!).

P. E. Bułhak (Balbina, żona radcy) i p. Z. Nowicki (radca Alfons Kłaczek) tworzą dobraną parę. Zwłaszcza Balbina zdobywa się na takie „zagrania”, że ręce składają się same do okłasków. Pani Bułhak jest po prostu świetnie dysponowana, tworzy swoją komiczną rolę z